



Mirosław Derecki

EKRAN I WIDZ: EPATOWANIE PUBLICZNOŚCI

Jedni gotowi są uznać go za geniusza nowego kina, inni przeciwnie: nazywają Davida Lyncha pretensjonalnym amatorem, który usiłuje epatować publiczność nagromadzeniem makabry, erotyzmem z pogranicza perwersji, zatracającą surrealizmem poetyką, odrzucaniem uświęconych kanonów przyjętych dla poszczególnych gatunków filmowych itp. Niektórzy porównują go z Brianem De Palmą, którego z kolei uważają za swoistego spadkobiercę Alfreda Hitchcocka. Jest więc David Lynch reformatorem nierozumianym przez wielu krytyków czy też artystycznym nieudacznikiem, którego filmowy bełkot biorą entuzjaści jego twórczości za szczeroloty kruszec?

Ten czterdziestodwuletni dzisiaj amerykański reżyser, były student akademii sztuk pięknych w Filadelfii, gdzie poświęcał się malarstwu, zdecydował się ostatecznie na kręcenie filmów. Po zrealizowaniu kilku krótkometrażówek debiutował w 1976 r. pełnometrażową „fabułą” zatytułowaną „Eraserhead” („Głowica ścierająca”), gdzie przenikały się wzajemnie elementy science fiction i klasycznego horroru. Film przyniósł mu uznanie w kręgach artystyczno-intelektualnych, eksperymentatorskich. Natomiast powstały w 1980 r., również sięgający do fantastyki „Elephant Man” stał się sukcesem komercyjnym przyciągnął do kas kinowych szeroką widownię. Niestety, superprodukcja science fiction pod tytułem „Dune”, na którą wydano czterdzieści milionów dolarów, zrealizowana w 1984 r. przyniosła z kolei całkowitą klęskę kasową. I chyba nie mniejszą - artystyczną.

My oglądamy dzisiaj najnowszy z filmów Dawida Lyncha, „opromieniony” atmosferą skandalu, (jako że został odrzucony przez komisję kwalifikacyjną festiwalu filmowego w Wenecji) – „Blue Velvet” z 1986 r. Główną rolę kobiecą w „Blue Velvet” kreuje Isabelle Roddellini, córka wybitnego włoskiego reżysera oraz słynnej aktorki Ingrid Bergman; i to właśnie podobno z powodu jej udziału w „skandalicznych” scenach, jakie znalazły się w filmie, nie dopuszczono go na festiwalowy ekran.

Szczerze mówiąc, i bez owych scen (zresztą niesmacznych, prymitywnie wyreżyserowanych i równie źle zagranych) „Blue Velvet” nie powinien był się dostać na festiwal. Po prostu, jako dzieło nader pośledniego gatunku, niespójne dramaturgicznie, a

chwilami wręcz nudne, choć nafaszerowane scenami aktów przemocy, gwałtów, bicia w mordę, kopania, strzelania między oczy i plucia krwią...

„Blue Velvet” to historia jakby z pogranicza sennego lub narkotycznego koszmaru. Opowieść o młodym chłopaku z cichego, sennego i „czystego” w swej obyczajowości, prowincjonalnego amerykańskiego miasteczka. O niejakim Jeffreyu Beumontcie, który znalazłszy w letni poranek na parkowym trawniku... odcięte ludzkie ucho (scena jak z Polańskiego!), zostaje w konsekwencji wciągnięty w cały łańcuch makabryczno-kryminalnych wydarzeń.

Te wydarzenia wpisane są w inny, nieznanym większości mieszkańców, „nocny” pejzaż Lamberton, gdzie kwitną gwałt i przemoc, przekupstwa i handel narkotykami. Gdzie pewna piosenkarka, Dorothy (Isabelle Rossellini), jest szantażowana i wykorzystywana przez zbrodniczego gangstera-narkomana Franka Bootha, jako ofiara jego perwersyjnych erotycznych praktyk. Chociaż w końcu nie wiadomo, które z tych dwojga jest do końca ofiarą w owym sado-masochistycznym związku...

Tak w kilku zdaniach opowiedziany „Blue Velvet” jawi się może nawet, jako film interesujący, jako wnikliwie naszkicowany obraz „drugiego dna” ludzkiej społeczności i także – ponura impresja na temat mroków ludzkiej duszy i zakamarków ludzkiej psychiki.

Niestety, jest to zarazem film zrobiony w sposób irytująco pretensjonalny, zbyt grubą krechą rysowany, zbyt nastawiony na szokowanie widza, na „straszenie” widowni. Tak, że w końcu nie bardzo wiadomo, o co tutaj reżyserowi chodziło. „Albo Lynch robi nas od początku w konia - napisał z pasją jeden z amerykańskich krytyków - albo nie ma najmniejszego pojęcia, jak sportretować małe miasteczko. Czy „Blue Velvet” to wielka kpina, czy też poważna próba analizy ciemnych stron małomiasteczkowego życia i seksualnego rozbudzenia pary niewinnych młodych ludzi (Jeffreya i jego dziewczyny, chodzącej jeszcze do liceum, Sandy Williams - MD) - czy może nieudana kombinacja jednego i drugiego?”.

Dla mnie - „Blue Velvet” to także: nieudana i niepotrzebna transakcja handlowa. Niepotrzebny zakup przez polskiego dystrybutora, niepotrzebny, mało udany film - przy i tak już nędznej sytuacji repertuarowej. Naprawdę szkoda czasu i pieniędzy na chodzenie do kina na takie filmy.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 9, s. 12.